

MARIA BUJAK

AKADEMIA



beyA.

MAGI

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Projekt okładki: Justyna Sieprawska

Grafikę na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: <https://beya.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

<https://beya.pl/user/opinie/akamag>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-9733-0

Copyright © Helion S.A. 2023

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

ROK 3008

W pomieszczeniu panował półmrok. Jedynym źródłem światła była mała świeczka, która stała pośrodku ogromnego stołu. Zabrakło jednak tajemniczości, ciszy i spokoju. Kilku mężczyzn i kilka kobiet krzyczało, próbując naraz przedstawić swoje racje. I pewnie byłbym jednym z nich, gdyby nie to, że tego dnia nie miałem nastroju, by podejmować te gierki i zgadzać się na manipulacje tego świata.

Siedziałem i przyglądałem się ludziom bardziej przerażonym niż jakiegokolwiek ocalałe zwierzę na tej planecie. Ludziom tak przerażonym, że pokój, w którym się znajdowaliśmy, aż drżał od ich desperacji. Każdy z nich pragnął jednego — spokoju, który został nam odebrany. A stało się tak dlatego, że grupka zmutowanych ludzi nie potrafiła od dwudziestu lat dojść do porozumienia.

I choć zawsze walczyłem, tego cholernego dnia odpuściłem. Byłem zmęczony.

— Chodzi tu o nasze cholerne bezpieczeństwo! — Wreszcie z serii krzyków wyłonił się ten jeden, najsilniejszy.

Spojrzałem na swojego przyjaciela, który dyszał ciężko z wycieńczenia i złości.

Wszyscy zamilkli, jakby wcześniejsze rozmowy nie miały żadnego znaczenia. Jakby to, że klócili się zawzięcie o to samo, nie miało żadnego znaczenia.

I tak zresztą było, bo najważniejsze były dwa głosy w całej tej sprawie. Dwa głosy przewodniczących jednej bądź drugiej strony konfliktu.

— Nie możemy powielać błędów naszych przodków — kontynuował, gdy miał już pewność, że go słuchają.

— Nie gadaj głupstw! — parsknął ktoś z tłumu.

Spojrzałem na mężczyznę, który ośmielił się odezwać.

Emanuel — prawa ręka tego, który nawet nie pofatygował się do nas. Skrzyżowaliśmy spojrzenia, jednak mężczyzna nie miał nawet zamiaru utrzymać kontaktu wzrokowego. Spojrzał na mnie zażenowany, a następnie skupił się na osobie, z którą miał zamiar kontynuować kłótnię. Znałem mężczyznę na tyle, by wiedzieć, iż w taki sposób próbuje pokazać reszcie, że jest na równi z własnym Liderem. I ma prawo do negocjacji z samym Alanem Rochesterem.

— To brak porządku ich zniszczył. Zniszczyła ich zbyt wielka nadzieja na samodzielność — mówił. — Nie pozwolę, by po raz kolejny nas to spotkało. Tym bardziej Gregory, który...

— Który nawet nie miał zamiaru tu przyjść? — przerwałem mu, chcąc w jakiś sposób wesprzeć przyjaciela i zawalczyć o coś, w co wierzyłem od początku. — Już dość się nacierpieliśmy. Możemy stworzyć świat od nowa. Świat bez uprzedzeń oraz nienawiści. Wystarczy dobra edukacja i wiara w to, co chcemy stworzyć. Nie powielajmy starych błędów i spełnijmy naszą powinność. Nie uważacie, że już dość kłótni i sporów?

— Gdyby było to takie proste, ludzkość by nie wyginęła. — Z tłumy wyłonił się mężczyzna, którego miałem nadzieję nie widzieć tego dnia.

Gregory MacKenzie przyjrzał się każdemu po kolei, jednak z jego twarzy nie można było wyczytać żadnych emocji prócz obojętności. Jeśli obojętność można nazwać emocją. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zebrany tłum rozstał się, chcąc dać mu dostęp do stołu, przy którym najważniejsi zasiadali już od ponad godziny. Dotknął dłońmi blatu, nadal nie spuszczać wzroku z zebranych.

W końcu popatrzył na Alana chwilę dłużej, jakby chciał dać do zrozumienia, że następne słowa będą skierowane właśnie do niego. Nie myliłem się.

— Przez waszą żalną nadzieję my również przestaniemy istnieć — rzekł w końcu głosem nieznoszącym sprzeciwu. — Nie mamy najmniejszego problemu, byście żyli poza systemem, jednak nie pozwolę, by wasze dzieci mogły się kształcić tak samo jak nasze. Nigdy. Liczą się fakty, a fakty są takie, że nie możemy pozwolić sobie na żadne wynaturzenia.

— Mam ci przypomnieć, że wszyscy nimi jesteśmy? — Alan nie miał zamiaru dać za wygraną. — Ty również.

Gregory nie drgnął nawet o milimetr. Wpatrywał się w mężczyznę i gdyby nie to, że był Gregorym, zapewne pomyślałbym, że analizuje jego słowa. Wiedziałem jednak, że nie musi tego robić — ten mężczyzna miał swoje zdanie i nie zapowiadało się, by miał je zmienić. Pomimo że rozmowy, które prowadziliśmy, trwały dobrych dwadzieścia lat.

Po dłuższej chwili odezwała się Martha, która jak zwykle chciała jedynie załagodzenia sytuacji:

— Przypomnę tylko, że powinniśmy współpracować. Powinniśmy być przeciwko problemowi, a nie przeciwko sobie.

— Problemem są tacy jak Alan! — Emanuel nie miał zamiaru, zresztą jak zwykle, przebierać w słowach.

— Problemem jest wasze ograniczenie umysłowe! — Wrzask przyjaciela rozniósł się po pomieszczeniu.

— Zważaj na słowa... — ostrzegł go Gregory, jednak ten jedynie parsknął.

— Zważać to ty powinieneś na to, jak twoi ludzie traktują moich. — Wskazał na niego palcem. — Mam dość tego, że nie szanujecie nas i nie macie zamiaru nas zaakceptować. Już za dużo się nasłuchałem o cierpieniach tych, którzy na nie nie zasługują. Robicie dokładnie to samo, co ludzkość do swojego ostatniego dnia. Również chcecie wojny?

— Grozisz nam?

— Pokazuję, do czego mogą prowadzić twoje ograniczenia. — Alan się wyprostował. — Rozmowy między moim ojcem i tobą trwały piętnaście lat, a między tobą i mną kolejne pięć i nadal nic nie zostało postanowione. Nie będę tego dłużej tolerował.

Zacisnąłem szczękę, domyślając się, do czego ta kłótnia może doprowadzić. Jeszcze nigdy Alan i Gregory nie posunęli się do tak ostrej wymiany zdań. Zawsze odnosili się do siebie z szacunkiem, a na koniec zawsze podawali sobie dłoń. Biorąc pod uwagę nastrój, który panował w pomieszczeniu, rozmowa ta nie mogła się dobrze skończyć.

— Rochester ma rację — wtrącił się Nathaniel, stając z Alanem ramie w ramie. — Mamy dość tego, że przed naszymi dziećmi nie otwierają się takie możliwości jak przed waszymi. Mamy dość, że marzną z zimna i umierają z głodu, że nie możemy zapewnić im dobrej przyszłości. Ba! Nie tylko nasze dzieci cierpią, nieprawdaż?

— Twój system nie działa — odezwał się następny mężczyzna, którego imienia nawet nie znałem. — Przyznaj w końcu, że czas na zmiany, ponieważ robisz dokładnie to samo, co ludzie.

Do dziś pojęcia nie mam, dlaczego Gregory tak mocno zareagował. Możliwe, że był już tym wszystkim zmęczony, bo nie potrafiliśmy dojść do porozumienia. Możliwe również, że planował to od początku, jednak czekał na odpowiedni moment, żeby to nie on był uznawany za złoczyncę.

Żadne z nas nie wiedziało, do czego doprowadzi ta wieczorna kłótnia. Przecież comiesięczne rozmowy zawsze wyglądały tak samo — kłótnia wszystkich wokół, zdecydowany głos Alana, spóźnienie MacKenziego, argumenty jednej i drugiej strony, aż do rozejścia się bez żadnych nowych sojuszy bądź ofert.

Tym razem coś się zmieniło.

— Słucham? — Gregory splunął, a ton jego głosu wskazywał, że jest rozbawiony wcześniejszymi słowami. — Oni nie są na to gotowi. Każde zmiany przynoszą kolejne konflikty i zaburzenia w systemie. — Spojrzał na Alana. — A ty? Mam rozumieć, że to sugestia, że chcesz zająć moje miejsce?

Rozłożył ramiona, a na jego twarzy pierwszy raz dostrzegłem coś na kształt grymasu.

— Proszę bardzo. Weź je sobie, jeśli czujesz się wystarczająco silny. Jeśli twój plan odbudowy świata jest aż tak wspaniałomyślny...

Alan uniósł dumnie podbródek. Znałem go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, iż stara się zachować spokój i nie wybuchnąć. Że pragnie nadal utrzymać pokój i nie dopuścić do tego, aby Gregory zapragnął wybić, jego zdaniem, tych *wynaturzonych*.

Jednak było za późno.

— Gdyby nie to, że tereny wokół nas w promieniu tysiąca kilometrów są niezdatne do zamieszkania, doskonale wiesz, że byśmy się wynieśli — wycedził przez zęby. — Jednak nie mamy takiej możliwości, tak samo jak ty nie dajesz nam możliwości, byśmy mogli spokojnie żyć!

Lider zaśmiał się gardłowo.

— Tak samo jak wy zaburzacie mój porządek w systemie — rzekł po dłuższej chwili. — Przeszkadzacie niczym wataha wilków. Jesteście czymś, przez co nie możemy się rozwijać...

— Gadasz głupstwa — przerwałem mu, nie mogąc znieść jego oceniających słów.

Jednak on już nie słuchał.

— A wiecie, co robią wilki, gdy ktoś wkracza na ich terytorium? — Pierwszy raz widziałem go w takim szale, a jego słowa wykraczały poza logiczne myślenie. — Walczą. I wygrywają ci silniejsi. Uważacie się za lepszych? W takim razie zobaczymy, które z was jest...

Urwał w połowie zdania, a na jego twarzy zamiast złości pojawił się ból. Złapał się za głowę, a z gardła wydobył się jęk.

— Chcesz wiedzieć, za kogo się uważamy? — Z tłumu wyłonił się nieznany nam dotąd mężczyzna. Spojrzałem zaskoczony na przyjaciela. — Czas skończyć z takimi jak ty.

Usłyszałem kolejny jęk, który tym razem bardziej przypominał wrzask.

— Nie pozwolę ci nas zniszczyć. Nie pozwolę, by ktoś jeszcze zginął przez ciebie! — kontynuował przybysz.

Nikt z nas nie wiedział, o czym ten mężczyzna mówił. Jedno jednak było pewne — nie władał żadnym z żywiołów, a jego moc pochodziła z niego samego. Co mogło oznaczać, że był jednym z nas, jednym z *wy-naturzonych*.

Tym razem usłyszałem prawdziwy wrzask pełen bólu. Znów spojrze-łem na nieznanego, a gdy dostrzegłem w jego oczach satysfakcję, zrozumiałem, że mężczyzna nie pragnie Gregory’ego torturować, lecz zabić. Zanim jednak zareagowałem, Emanuel wyciągnął prawą dłoń. W mgnie-niu oka przybysz padł na ziemię. Wielu odwróciło wzrok. Widok jego szeroko otwartych oczu i nienaturalnie wykrzywionej głowy nie należał do najprzyjemniejszych.

— Można było się tego spodziewać — zakpił Emanuel, spoglądając na Rochester’a. — Jesteś aż tak zdesperowany?

— Nie miałem z tym nic wspólnego — zaprzeczył. — Doskonale zda-jesz sobie sprawę, że nie ośmieliłbym się...

— Dostyc — warknął słabo Gregory. — Ty może byś się nie ośmielił, jednak — jak widać — twoi ludzie są nieprzewidywalni, postradali zmy-sły. To tylko pokazuje, że nie potrafisz nimi kierować. Już dość twojej samowolki, dość sojuszu.

Spojrzał na mężczyznę po swojej prawej stronie.

— Wiesz, co masz robić.

Po tych słowach nastąpiła martwa cisza. Emanuel wyszedł z pomiesz-czenia, a zaraz za nim Gregory. Każdy z nas, choć nikt nie powiedział tego głośno, domyślił się, co mężczyźni planują zrobić. Planowali to od początku. Planowali to od dwudziestu lat, wiedząc, że w końcu nadarzy się okazja, kiedy to nam powinie się noga. Ta okazja nadarzyła się tego wieczora.

— Biegnij do domu! — warknął przyjaciel, spoglądając na mnie. — Upewnij się, że moje dzieci i Miriam są bezpieczne. Dołączę do was później.

Pierwszy raz w życiu dostrzegłem na jego twarzy cień strachu. Zawsze opanowany, dający innym nadzieję mężczyzna się bał.

Dlatego wiedziałem, że nie ma czasu do stracenia. Przytaknąłem, na-tychmiast ruszając za Gregorym oraz Emanuelem.

Jednak było już za późno.

ROK 3019

Rozdział 1

Krzyk dochodzący z korytarza zbudził mnie jak każdego dnia mojego prawie osiemnastoletniego życia. Jak co dzień, przekreśliłam się na lewy bok, wzięłam głębszy oddech i wtuliłam się w koc, chcąc uciec od chłodnego poranka, a dopiero później otworzyłam oczy, krzyżując wzrok z jedną z wielu moich współlokatorek. Lizzie, jak zawsze, zamrugła parę razy, a następnie jęknęła, zwiastując, że zaczyna się kolejny dzień z narzekaniem w roli głównej.

— Czy oni nie mogą być ciszej? — burknęła, na co żadna z nas jej nie odpowiedziała.

Harmon wstała z łóżka jako pierwsza, chcąc rozpocząć nasz codzienny rytuał łazienkowy. Usiadłam, żeby przyjrzeć się każdej z osobna, ale nic mnie nie zdziwiło. Najstarsza z nas, Eveline, jeszcze spała, Olivia, czyli najmłodsza, siedziała w tej samej pozycji, co ja, a czternastoletnia Jessica leżała ze wzrokiem wbitym w ścianę.

Miałam przed sobą obrazek, który towarzyszył mi od pięciu lat i miał się zmienić za kilka miesięcy.

A oznaczało to mniej więcej to, że za dokładnie cztery miesiące i trzy dni zostanę wyrzucona na bruk i zapewne umrę z wychłodzenia bądź z głodu.

— Twoja kolej! — Głos Harmon pozwolił mi wrócić do rzeczywistości. — Olivia, zbieraj się powoli.

Spojrzałam na nią, a ta wskazała łazienkę. Kiwnęłam jedynie głową i bez słowa udałam się tam, gdzie mogłam odprawić mój poranny rytuał.

Harmon była maniaczką, gdy chodziło o organizację czasu. Od początku naszej znajomości wszystko miała zaplanowane i to samo robiła z czasem swoich współlokatorek, dlatego byliśmy jedynym pokojem, który bez kłótni i rannego przepychania potrafił dojść do porozumienia w kwestii łazienki i posiłków. Nie przeszkadzało to nam, bo to dzięki

niej poranki i wieczory należały do tych najprzyjemniej spędzonych — bez przepychanek, kłótni, wyzwisk i innych beznadziejnych pretensji.

Powolnym krokiem podeszłam do lustra, by zaraz potem skrzywić się na swój widok. Bo mimo że było ono brudne i rozbite, mogłam doskonale się w nim przejrzeć. Nie chcąc tracić czasu, przemyślałam twarz lodowatą wodą, która rozbudziła mnie do tego stopnia, że obraz przede mną nie rozmazywał się tak, jak jeszcze sekundę temu.

Cztery miesiące i trzy dni.

Zacisnęłam usta w cienką linię, nie chcąc rozmyślać o dacie, która zbliżała się wielkimi krokami. Sprawnie się przebrałam, a następnie zaczęłam rozczesywać włosy.

Za cztery miesiące i trzy dni nie będziesz mogła nawet tego zrobić.

Pukanie do drzwi skutecznie odciągnęło mnie od tych optymistycznych myśli. Wpuściłam Olivię, wiedząc, że jeszcze chwilę zajmie mi doprowadzenie do ładu tych cholernie długich włosów.

— Nad czym tak myślisz? — spytała dziewczynka, gdy przez kolejne dwie minuty się nie odzywałam. Zmarszczyła brwi. — Od momentu, gdy wstałaś, wydajesz się nieobecna.

— Nie wyspałam się — powiedziałam wymijająco. Nie chciałam rozmawiać o tym, co miałam tego dnia w głowie.

Blondynka wzruszyła ramionami, nie miała zamiaru ciągnąć mnie za język. To właśnie w niej uwielbiałam.

— Eveline powiedziała, że nie pojawi się dzisiaj — zmieniła temat. — Na zajęciach.

Podeszłam do niej, chcąc jej pomóc rozczesać włosy. Zważając na ich długość i nieporadność Olivii, nie poradziłaby sobie z nimi, dlatego zawsze przychodziła z tym do mnie. Dodatkowo zaoszczędzałyśmy czas, dzięki czemu Harmon była wniebowzięta.

— Co sugerujesz? — spytałam.

— Jasmine, Julie i Thomas cię lubią. — Znów wzruszyła ramionami. — Mogłabyś poprowadzić dzisiaj lekcje.

— Wiesz, że się do tego nie nadaję.

— Eveline również.

Parsknęłam, nie mogąc się powstrzymać.

— Nie mów tak — skarciłam ją, choć miała sporo racji.

Eveline zajmowała się nauką pisania i czytania dzieci w wieku od siedmiu do trzynastu lat. Można powiedzieć, że przejęła najważniejsze,

jak i najcięższe zadanie, które można było otrzymać w sierocińcu. Mimo wszystko nie przyjęła go z czystej pasji. Miała nadzieję, że zarząd będzie chciał ją zatrzymać i nie będzie musiała martwić się o to, co może spotkać ją na zewnątrz. Pracowała na to od czternastego roku życia i choć jej cierpliwość została parę razy wystawiona na próbę, można powiedzieć, że sobie radziła. Przynajmniej na tyle, by zarząd był z niej zadowolony i zostawił ją w spokoju.

— Będziemy grzeczni.

— Mówicie tak za każdym razem — skwitowałam. — Tym razem się na to nie nabiorę.

— No proszę... — Odwróciła się do mnie z miną smutnego szczeniaka. Przewróciłam oczami. — Co niby będziesz robić?

I tu mnie miała. Olivia doskonale wiedziała, że tego dnia prócz posiłków i paru drobniejszych spraw nie miałam co robić. Do moich obowiązków należało jedynie mycie toalet, które odbywało się raz na tydzień.

— Dobrze — burknęłam, co wywołało na jej twarzy szeroki uśmiech. — Zbieraj się, zaraz idziemy na śniadanie.

— Jesteś najlepsza!

Na mojej twarzy, choć nie byłam w nastroju, mimowolnie pojawił się uśmiech. Bo choć mogłam temu zaprzeczać, lubiłam te dzieciaki. Miały w sobie tyle pozytywnej energii, że potrafiły zarazić nią innych. Ja z pewnością nie byłam odporna na ich urok, a pozytywnej energii potrzebowałam aż nadto.

Po wyjściu z łazienki pościeliłam łóżko oraz posprzątałam miejsce wokół niego, nie chcąc, by cokolwiek mojego leżało na wierzchu w tak małym pokoju. Wiedząc, że Olivia i tak tego nie robi, doprowadziłam do porządku i jej miejsce do spania. Miałam świadomość, jak długie kazanie usłyszałaby od Harmon, zatem chciałam oszczędzić tego zarówno jej, jak i reszcie dziewczyn.

— Możemy już iść? — odezwała się Lizzie, gdy wszystkie byłyśmy gotowe. — Jestem głodna.

Eveline prychnęła.

— Mam ci przypomnieć, że dziś niedziela? — Dziewczyna wydawała się rozbawiona. — Zapewne nie było żadnej dostawy, a dzisiejsze śniadanie to resztki z wczorajszej kolacji.

— Jakby śniadania kiedykolwiek nie były resztkami z kolacji... — odbiła piłeczkę Lizzie. — Jeśli tak bardzo wybrzydzasz, możesz mi oddać swoją porcję.

Eveline jedynie pokręciła głową, najpewniej nie chcąc dalej dyskutować. To również nie zmieniało się od paru lat — Lizzie narzekała, Eveline ze swoją negatywną energią jej odpyskowywała, Lizzie się obrażała i ruszałyśmy na stołówkę.

Czy można zatem powiedzieć, że się dogadywałyśmy? Wątpię. Jedynie, co nas łączyło, to wspólny pokój oraz stół na stołówce. Ach, i posłuszeństwo wobec Harmon, która dzięki swojej naturze zaplanowała nam poranki oraz wieczory. W pozostałych porach dnia starałyśmy się trzymać z daleka od siebie.

Droga na stołówkę zajęła nam chwilę. Dzięki dobrej organizacji czasu miałyśmy szansę usiąść, a nawet wybrać sobie stolik. Olivia niemal od razu odłączyła się od nas, by dołączyć do reszty swoich dziesięcioletnich kolegów i koleżanek.

Nim usiadłyśmy, ustawiliśmy się w kolejce po jedzenie, które nakładała nam osoba z zewnątrz. Skrzywiłam się, gdy zauważyłam, że podawano dwie kromki chleba, masło oraz kubek herbaty.

— Jeśli coś ci się, słonko, nie podoba, możesz oddać porcję — odezwała się kobieta, gdy zauważyła moją minę.

— Jest w porządku, dziękuję — odpowiedziałam, nie chcąc jej denerwować.

Miałam świadomość, że była w stanie zabrać mi śniadanie i dać komuś innemu. Często zdarzały się sytuacje, iż osoby, które danego dnia zasnęły, nie dostawały w ogóle posiłku. Nikt nie miał dokładki, a w dodatku nie każdy dostawał tę pierwszą porcję.

— Słyszałam, że mnie dzisiaj zastąpisz. — Eveline po raz pierwszy tego dnia odezwała się do mnie.

Usiadłyśmy, rezerwując tym samym miejsce reszcie dziewcząt. Uniósłam wzrok, a gdy zobaczyłam jej minę, zacisnęłam szczękę.

— Podobno nie możesz — powiedziałam, próbując grać niewzruszoną.

— To nie oznacza, że można mnie zastąpić — wycedziła.

— Mam ci przypomnieć, na czym polega ta praca? — odpowiedziałam ostro, unosząc przy tym brew. — Ta jedna godzina dziennie pozwala im uciec od zwykłych, ciężkich, jak na kilkuletnie dzieciaki, obowiązków. Jeśli nie masz na nie czasu, ja go znajdę.

— Coś sugerujesz?

— Nie. — Pokręciłam głową. — Nie byłabym w stanie zastąpić cię na dobre. Poza tym jesteśmy koleżankami, tak?

Nie odpowiedziała, ponieważ do stołu zasiadła reszta.

To nie tak, że chciałam zastąpić Eveline. Do osiemnastu lat brakowało jej zaledwie kilku tygodni, więc gdyby nie nałożono na nią tego obowiązku na stałe, zapewne gdy ja osiągnęłabym pełnoletność, ona zamarzałaby na śmierć. Nie zmieniało to jednak sytuacji, że te dzieciaki zasługiwały na częśćkę edukacji. Gdyby nie ta godzina dziennie, w życiu nie nauczyłabym się pisać, czytać, liczyć i nie poznałabym załączka naszej historii. Nie chciałam im tego odbierać, zwłaszcza że Eveline dobrze wykonywała swoje obowiązki i nie groziły jej poważne konsekwencje. I choć nie przepadałam za tą dziewczyną przez naszą ciągłą różnicę zdań, byłoby to niesprawiedliwe, gdybym odebrała jej coś, na co ciężko pracowała.

Przekleństwo rzucone przez Lizzie skutecznie odciągnęło mnie od moich rozmyślań. Podążyłam za jej spojrzeniem. Na widok prawdziwego zastępcy szatana wraz z dwójką przyjaciół ja również miałam ochotę przekląć.

— Czy przynajmniej jeden dzień mógłby być spokojny? — jęknęła dziewczyna. — Mógłby zaspać, albo nie wiem, wpaść pod pociąg i umrzeć w męczarniach...

Jak za dotknięciem różdżki usłyszałam jego głos:

— To jakieś żarty?!

I choć każdego dnia widowisko wyglądało tak samo, wszyscy zwrócili na nie uwagę, a atmosfera w stołówce zgęstniała.

— Jeśli ci się coś nie podoba, oddam twoją porcję następnej osobie. — Kobieta wydawała się niewzruszona.

Pracowała u nas już kilka dobrych lat, a przed Calebem miała takich chłopaków już kilkadziesiąt. Dlatego pozostawała niewzruszona jego zachowaniem.

— Jak ty to sobie wyobrażasz?! — wrzasnął. — Jestem facetem i powinienem dostawać więcej niż ci siedmioletni gówniarze!

— Bierzesz to jedzenie, czy naprawdę mam je dać kolejnej osobie?!

Caleb parsknął głośno, niemal na nią plując, a następnie z wielką wściekłością zabrał od niej talerz.

— Powinnaś inną odzywkę sobie wymyślić, stara jęczo! — burknął na odchodne, a następnie usiadł blisko nas. — Pleśń w tym jedzeniu wygląda najbardziej atrakcyjnie.

Gdy usiadł, każdy zajął się swoimi sprawami. Wiedzieliśmy, że na tym zapewne się skończy. Możliwe, że jeszcze parę razy zaklnie, strasząc tym siedmiolatki, jednak to wszystko. *Zazwyczaj*.

Zazwyczaj, ponieważ tego dnia Caleb był najwyraźniej zbyt mocno wyprowadzony z równowagi, by na tym zakończyć. Po zjedzonym posiłku zamienił kilka zdań z Louisem oraz Maksem, a gdy oni przytaknęli, wstał.

Na przedramionach pojawiła mi się gęsia skórka na myśl o tym, co Caleb chce zrobić. Jednak nie spodziewałam się, że podejdzie do stolika, przy którym siedziała Olivia.

— Oddawaj — warknął do jednego z jej kolegów, na co ten wzdrygnął się przerażony. — Nie każ mi dwa razy powtarzać.

Przelknęłam ślinę, przypominając sobie, jak kiedyś ja byłam na miejscu Thomasa. Caleb już kilka razy zabierał innym jedzenie, jednak zawsze były to osoby mniej więcej w jego wieku. Naszą niepisaną zasadą było to, by najmłodsze dzieciaki traktować jak najlepiej, żeby przynajmniej one czuły się tu dobrze. Choć przez chwilę.

Najwyraźniej chłopak postanowił inaczej.

Spojrzałam na Eveline, która potrafiła przemówić mu do rozsądku. Nawet nie drgnęła.

— Powiedziałem coś!

Przymknęłam oczy pod wpływem tonu jego głosu.

— Dzisiaj ty się nimi opiekujesz — szepnęła dziewczyna, a następnie poprawiła się na krześle. — Pokaż, co potrafisz, a nie siedź beczynnienie.

Zacisnęłam pięści w taki sposób, że paznokcie wbiły mi się w wewnętrzną stronę dłoni. Popatrzyłam po raz kolejny na brunetkę, na co ona uniosła jedynie brew. Przyjrzałam się jeszcze raz Thomasowi, najlepszemu przyjacielowi Olivii, a gdy dostrzegłam w jego oczach łzy, nie wytrzymałam. Kierowałam się nagłym impulsem i przypiływem odwagi. Nie chciałam, by któremukolwiek z dzieci stała się krzywda przez neo-panowaną złość Caleba. W końcu bywało z nim różnie. Nie miałam nic do stracenia, w przeciwieństwie do dziesięciolatek.

— Nie przesadzasz? — odezwałam się, gdy byłam już blisko niego.

Chłopak wyprostował się, a później powoli odwrócił się w moją stronę. Na sali powstało małe zamieszanie.

— Słucham?

— Głuchy jesteś? — Skrzyżowałam ramiona na piersi, by dodać sobie odwagi. — Pytam, czy przypadkiem nie przesadzasz?

— Noemi... — cmoknęła, unosząc podbródek. — Rodzice nie nauczyli cię, że nie powinno się wtrącać w nie swoje sprawy?

Zagotowało się we mnie.

— A twoi chyba nie zdążyli przeprowadzić lekcji o dobrych manierach — odpysknęłam, próbując nie dać po sobie poznać, jak bardzo jego słowa mnie zezłościły. — Powiedziałyby, że przewracają się w grobie, ale...

— Dokończ, a gorzko tego pożałujesz — wycedził przez zęby, będąc jeszcze bardziej wściekły niż sekundę temu.

— Więc zostaw Thomasa i całą resztę — odpowiedziałam bez zająknięcia. — Mam ci przypomnieć, co wydarzyło się dwa lata temu?

Chłopak parsknął, jednak zaraz potem spowaźniał, jakby przypominał sobie, co miałam na myśli. Uniósł podbródek i poruszył się niespokojnie.

— Jesteś cholerną wariatką — burknął, odsuwając się. — Wiesz o tym, prawda?

— Dobrze, że ty zdajesz sobie z tego sprawę.

Caleb pokręcił głową z niedowierzaniem, jednak wrócił na swoje miejsce, zapewniając wszystkim zebranym upragniony spokój. Kątem oka popatrzyłam na Oliwię, która przyglądała mi się z niedowierzaniem.

— Co się wydarzyło dwa lata temu? — spytała, a ja dopiero w tym momencie zdałam sobie sprawę, że wtedy nie było ich w sierocińcu.

Uśmiechnęłam się do niej uspokajająco.

— Nic, czym mielibyście sobie zawracać głowę.

Zajęcia z Oliwią i resztą dzieciaków przedłużyły się bardziej niż zazwyczaj. Prowadziłam je zaledwie dwa razy i dwa razy nie udało mi się wyrobić w czasie. Jednak nie ma się co dziwić, pragnęły wiedzieć jak najwięcej, a ja drugie tyle chciałam przekazać. Mimo że moja wiedza sięgała dna.

— Jutro też przyjdiesz? — spytała przyjaciółka Olivii.

— To nie moja rola — odpowiedziałam. — Zastępuję jedynie koleżankę.

Dziewczynka zmarkotniała, ale nie miałam zamiaru się jej tłumaczyć. Każde z nas znało zasady panujące w sierocińcu. To dyrekcja miała coś do powiedzenia. Niestety nie była przychylna jakimkolwiek zmianom. Jeśli powierzyła Eveline stanowisko „nauczyciela”, to musiała być przekonana, że właśnie ona się do tego nadaje. I pomimo że zarządców nigdy nie widać i nie słychać, każdy wiedział, że sprzeciwienie się im rozdziło określone konsekwencje.

— Powinniśmy iść na obiad — dodałam, chcąc zmienić temat.

Nie odpowiedzieli. Zamiast tego wstali ze swoich miejsc i ruszyli w stronę stołówki, nie czekając na mnie. Uśmiechnęłam się lekko do siebie, mając w głowie nasze zajęcia.

Te dzieciaki były cudowne.

Z cichym westchnięciem zaczęłam się zbierać. Musiałam jeszcze po nich posprzątać, by w sali panował nienaganny porządek. Jeśli to w ogóle możliwe w pomieszczeniu, w którym narastała pleśń, ściany były poobijane, a podłoga dawno niemyta. Zebrałam kartki z podłogi, a resztkę długopisów schowałam do słoików.

Nagle usłyszałam trzask zamykanych drzwi. Spięłam się nieznacznie, jednak odwracając się w kierunku wyjścia, nie dałam po sobie poznać, że wejście nieproszonego gościa zrobiło na mnie jakiegokolwiek wrażenie. Spojrzałam na blondyna, który powolnym krokiem kierował się w moją stronę.

Wiedziałam, że tak to się skończy, lecz mimo wszystko ludziłam się, że mi odpuści, przynajmniej tego dnia.

— Pamiętasz, jak to my byliśmy na ich miejscu? — rozpoczął rozmowę spokojnym, niewzruszonym tonem.

Momentalnie przed oczyma stanęły mi wspomnienia sprzed kilku lat. Z czasu, kiedy byliśmy szczęśliwsi niż teraz, mieliśmy marzenia i snuliśmy plany dotyczące naszej przyszłości. Wtedy nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje po skończeniu osiemnastego roku życia.

Później przypomniałam sobie przerażenie, gdy starsze roczniki postanowiły przybliżyć nam, jaka jest prawda. A najgorsze było to, że powielaliśmy ich błędy, nadal zatrzymując w tajemnicy przed kilkulatkami prawdę na temat ich przeszłości.

— Byliśmy tacy naiwni...

— Byliśmy dziećmi, Caleb — przerwałam mu, gdy nasze spojrzenia się spotkały.

— Tak — odpowiedział, biorąc do ręki jedną z książek. Obejrzał ją dokładnie. — A teraz kim twoim zdaniem jesteśmy?

Wzięłam głębszy oddech, nie mając pewności, do czego ta rozmowa zmierzała. Prawda była taka, że po Calebie można było spodziewać się wszystkiego — od wyplakiwania się w ramię, przez żarty, aż po wyzwiska i przemoc. Najgorsze było to, że nawet w jego ciemnobrązowych oczach nie dało się wyczytać, co planuje. Nie można było wyczytać z nich niczego prócz obojętności bądź złości, którą było widać na co dzień. Był przerażająco niestabilny emocjonalnie.

Nie dziwiłam mu się — miał straszną przeszłość, a najgorsze było to, że pamiętał z niej wszystko. Każdy ból, krzyk, nienawiść do małego siedmioletniego chłopca. Każda blizna na jego ciele była dowodem, ile ten człowiek wycierpiał. I pomimo że nie znosiłam go całym swoim sercem, były takie dni, że było mi go szkoda. Choć obaj tkwiliśmy w takim samym bagnie, ja przynajmniej nie pamiętałam, co mnie spotkało, że się tu znalazłam. Do swoich rodziców i swojej przeszłości podchodziłam z obojętnością, która nie przeszkadzała mi w codziennych czynnościach — pomogła mi się pogodzić ze swoim losem. Caleb natomiast czuł i pamiętał wszystko.

— Do czego zmierzasz? — spytałam, nie chcąc odpowiadać na jego pytanie, bo odpowiedź nie spodobałaby się ani jemu, ani mnie.

— Do tego, że za cztery miesiące i trzy dni wyrzucą cię z sierocińca. Zamarłam.

— A ty nie masz nic, żadnych umiejętności ani miejsca, by się schronić w taki dzień jak ten. — Wskazał na pogodę za oknem. — Nie masz znajomości ani poza budynkiem, ani na jego na terenie. Jesteś w tym świecie nikim, a przy tym pozostawiona samej sobie. Nawet dla siebie nic nie znaczysz. Zapomniałbym o pechu, który towarzyszy ci, odkąd pamiętam.

Zacisnęłam szczękę, starając się nie wybuchnąć. Mimo że Caleb mówił prawdę, bardzo nie chciałam tego słyszeć. Byłam świadoma, że w żaden sposób nie zadbałam o swoją przyszłość. Nie wiedziałam nawet, kto mieszka w okolicy. Ba! Nie wiedziałam nawet, czy ktokolwiek mieszka nieopodal sierocińca. Gdybym potrzebowała pomocy, do kogo miałabym się zwrócić? Przez większość czasu żyłam tylko w swojej bańce,

mając nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży. Nie zadbałam o żaden aspekt swojego życia, a gdy do osiemnastu lat pozostały mi zaledwie cztery miesiące, jedyne, co robiłam, to użalałam się nad sobą. Nadal nie miałam zamiaru wziąć spraw w swoje ręce.

— Parę razy mi pomogłaś, a tak się składa, że potrzebuję pomocy kogoś tak niewidzialnego jak ty — dodał. — Kogoś, kto nie jest zauważalny przed zarząd, ale jest na tyle zdesperowany, by pomóc komuś takiemu jak ja.

— Nie jestem zdesperowana — wyjąkałam. — I z pewnością nie będę z tobą współpracować. Już nie.

Chłopak zaśmiał się głośno.

— Pomożemy sobie nawzajem, nie rozumiesz?

Pokręciłam głową, nie chcąc go dalej słuchać. Współpraca z tym człowiekiem to same problemy, a ja miałam ich aż nadto. Nie miałam zamiaru pakować się w kolejne.

Bez słowa ruszyłam w kierunku wyjścia, jednak on złapał mnie za łokieć, nie pozwalając iść dalej. Spojrzeliśmy sobie prosto w oczy.

— Nie masz nic do stracenia, Noemi — wyszeptał. — Ta fucha jest już zarezerwowana dla Eveline, tak samo jak reszta poważniejszych prac. Twoje mycie kibli przejmie dzieciak, który w najbliższych dniach skończy czternaście lat. Wyrzucą cię, a tak się składa, że urodziny masz w deszczowe, chłodne dni. Grypa, zapalenie płuc i bum... Umierasz w męczarniach.

W moim gardle pojawiła się gęła.

— Pomożesz mi jeden raz bądź kilka razy. Nic zobowiązującego, tak jak dwa lata temu. — Wzruszył ramionami. — Zarządcy ostatnimi czasy przegrzebują mój pokój, ponieważ domyślają się, że coś kombinują. A tak się składa, że dostałem informację o tym, że w lombardzie oddalonym o pół godziny drogi stąd znajduje się dużo warta biżuteria. Nie tak droga, by nas ścigać, jednak kosztuje tyle, że warto zaryzykować. Dostaniesz swoją część, dzięki czemu będziesz mogła pierwsze miesiące przeżyć w hotelu. Będziesz miała czas na znalezienie pracy, może uda ci się kogoś poznać.

— Nie będę kraść — odpowiedziałam, jednak mój głos nie brzmiał przekonująco. Możliwe, że bardziej próbowałam przekonać samą siebie. — I przede wszystkim nie umiem tego robić.

— Tak? — Zaśmiał się gardłowo. — A kto w dzieciństwie podjadał ostatnie słodycze? I kradł najlepszy chleb ze stołówki? — parsknął. — Kto jeszcze dwa lata temu miał lepkie rączki na wiosennym straganie? Nie bądź taka skromna.

— To nie to samo...

— Będę czekać po kolacji, przed wejściem do sierocińca. Nie spóźnij się — przerwał mi.

Po tych słowach puścił mnie, nie dając szans na odpowiedź, na którą nawet nie byłam przygotowana.

Bo prawdą było to, że nie miałam nic do stracenia, a taka okazja mogła się już nie przytrafić.

W końcu miałam jedynie cztery miesiące i trzy dni.

W miejscu, o którym mówił Caleb, pojawiałam się od razu po zmroku. Z jednej strony po cichutku liczyłam, że chłopak się nie zjawi, a ja nie będę żałować, że nie skorzystałam z jedynej szansy na poprawę mojej sytuacji finansowej, a przy tym również życiowej. Z drugiej jednak pragnęłam, by wszystko się udało i bym bez wyrzutów sumienia mogła uratować się przed śmiercią.

Prawda była taka, że życie nigdy nas nie rozpieszczało. Szczególnie w momencie, gdy stawaliśmy się samodzielni, a sierociniec przestawał być naszym domem. Jeśli w ogóle można go tak nazwać. Nikt nigdy nie widział na własne oczy, co działo się z tymi, którzy musieli stanąć twarzą w twarz z dorosłością. Plotki były jednak wystarczająco dobiegające. Podobno większość z nas już nie żyła — jeśli nie zabił ich głód albo chłód, odbierali sobie życie sami, ginęli w trakcie napadów bądź w jeszcze tragiczniejszych okolicznościach. Musieliśmy liczyć na siebie, a większość z nas posuwała się do okropnych czynów, wiedząc, że tylko tak można przeżyć. Byli też tacy, którzy mordowali, by sami nie zostać zamordowanymi.

Gdy pierwszy raz usłyszałam historię osiemnastolatków z naszego sierocińca, postanowiłam sobie, że nigdy nie będę jak oni. Będę lepsza od nich wszystkich razem wziętych. Zdałam sobie jednak sprawę, jak bardzo naiwna i próżna jestem. W końcu nie różniłam się niczym od reszty dzieciaków — powiedziałabym nawet, że byłam bardziej zdesperowana niż inni, co mogło jedynie oznaczać, że byłam w stanie zrobić wszystko, by tylko przeżyć. Człowiek nawet nie zdaje sobie sprawy,

jak bardzo może przesunąć granicę moralności, gdy jest w sytuacji podbramkowej. A to, co zrobiłam kilka miesięcy później, było jedynie tego dowodem.

— Przez chwilę myślałam, że naprawdę nie przyjdiesz — rzekł Caleb na powitanie.

— Również miałam nadzieję, że będę umiała wybić to sobie z głowy — odburknęłam.

Byłam na siebie zła, że nie potrafiłam znaleźć innego wyjścia oraz że nie byłam wystarczająco silna, by oprzeć się tak łatwemu zarobkowi.

Byłam również zestresowana tym, że jakimś sposobem, wyjątkowo, się wyda, że wychodzimy z budynku nie tylko po to, by się przewietrzyć. Zarząd nigdy nie miał problemu z tym, że opuszczaliśmy teren sierocińca. Zapewne po cichu liczył, że coś nam się stanie i będzie jedna morda mniej do wykarmienia. Jednak mimo wszystko nie pochwaliby takich wybryków. Oczywiście większość rzeczy miał w głębokim poważaniu, jednakże kradzież mogłaby być czymś zbyt dużym, by to zignorować. Zwłaszcza że była niezgodna z prawem i mogła sprowadzić problemy z góry.

— Poczekajmy jeszcze na Louisa i Maksą.

Zmarszczyłam czoło.

— Jeśli masz kogoś, kto bez problemu ci pomaga, dlaczego zaproponowałeś to mnie?

Przez chwilę nie odpowiadał. Zamiast tego patrzył przed siebie, jakby chciał przygotować jakąś sensowną odpowiedź.

To nie tak, że mu nie ufałam. Znałam go na tyle, by wiedzieć, że Caleb zawsze grał. Odkrywał jednak wszystkie karty, można było z niego czytać jak z otwartej księgi. Nigdy nie kłamał i pomimo swojego wybuchowego charakteru był w stosunku do nas uczciwy. Dlatego też liczyłam, że odpowie mi szczerze. Nie przeliczyłam się.

— Inspiracja przyszła podczas dzisiejszego śniadania — odezwał się w końcu. — Kilka dni wcześniej nawet o tobie nie pamiętałem, ale dzisiaj przypomniałaś mi, co potrafisz. Powiedzmy, że będziesz naszym kołem ratunkowym, gdyby właściciel nas przyłapał. I przechowasz naszyjniki w swoim pokoju, do momentu, aż sytuacja się uspokoi.

Spięłam się nieznacznie. Rozumiałam, co miał na myśli, i zapragnęłam wziąć nogi za pas. To, co wydarzyło się dwa lata temu, było czystym przypadkiem, a poza tym żadne z nas nie miało dostępu do odpowiedniej edukacji, więc moja *moc* musiała zaniknąć.

— To, że jestem jedyną osobą w sierocińcu, której *to* się udało, nie oznacza, że nad tym panuję — skarciłam go. — Caleb, to nie są żarty. Do korzystania z takich zasobów potrzebne są miesiące nauki, a tak się składa, że zabrakło ich w moim życiu. To był przypadek.

— Spokojnie — zaśmiał się. — To tylko w momencie, gdy plan nie wypali.

— A jaki jest plan?

— Wchodzimy, bierzemy, co nasze, i spadamy — odpowiedział za niego Max, który właśnie się pojawił.

Podrzucił jabłko, które miał w dłoni.

— Zapewne ochroniarz, jeśli w ogóle istnieje, będzie spał, a właściciel nawet się nie pofatyguje się tutaj dziś w nocy — dodał Louis, wzruszając ramionami.

Ich plan brzmiał tak, jakby dopiero co go wymyślili. Chociaż nie — brzmiał tak, jakby nigdy nad nim nie siedli. Miałam wrażenie, że nie byli do końca pewni, co nas tam właściwie spotka. Mimo to nie miałam zamiaru rezygnować. Za bardzo się nastawiłam na tę szansę dla swojej przyszłości, by teraz się wycofać. Nawet jeśli to miałyby mnie kosztować więcej, niż jestem w stanie unieść. W końcu nie miałam nic do stracenia.

Drogę do celu pokonaliśmy w pół godziny. Żadne z nas w tym czasie się nie odezwało. Chyba nie mieliśmy nawet ochoty na pogaduszki. Lombard wyglądał tak, jak się spodziewałam. Obskurny budynek, który i tak przedstawiał się lepiej niż otaczające go kamienice. Rozejrzałam się, chcąc ustalić, czy ktokolwiek w nich mieszka. Ku mojemu zdziwieniu nie paliło się ani jedno światło, co mogło oznaczać, że właściciele spali lub faktycznie nikogo tam nie było. Schowaliśmy się za rogiem, by nie przykuwać uwagi osób, które mogłyby tędy przechodzić.

— Są święta — odezwał się Caleb, jakby słysząc moje myśli. — Większość osób wyjechała do rodziny, a inni śpią, pragnąc zapomnieć o tym, co wydarzyło się kilkadziesiąt lat temu.

— Tyle lat, a ci na górze nadal nie wiedzą, jak stworzyć świat, w którym nikt by nie cierpiał — parsknął Max. — Banda debili albo leniwych kretyków.

— Daj spokój — wtrącił Louis. — Wcześniej nie było lepiej.

— Wcześniej były problemy trudniejsze do rozwiązania — odpowiedział.

— Dosyć — przerwał im Caleb. — Skupcie się. Nie kradniemy jedzenia, lecz coś bardziej wartościowego. Mamy jedną szansę. —

Spojrzał na mnie. — Będziesz tuż za mną. Max stanie przy oknie, by w razie czego dać nam znak. Louis, wiesz, co masz robić.

Chłopak pokiwał głową, a następnie odszedł. Kątem oka zauważyłam, że po prostu rozgląda się po okolicy, najprawdopodobniej upewniając się, czy aby na pewno jesteśmy tu sami. Popatrzyłam na Caleba i gdyby nie jego zdeterminowana mina, miałabym wrażenie, że on sam nie wie, co powinien robić.

Po chwili Louis wrócił, dając nam znak, że można działać. Ruszyliśmy w stronę kamienicy. Caleb bez problemu rozprawił się z zamkiem, jakby posiadał do niego klucz. Spojrzałam na niego zdziwiona, na co uśmiechnął się pod nosem.

— Mówiłem, że drobnostka — wyjaśnił, a następnie wszedł jako pierwszy do środka.

Najciszej, jak potrafiliśmy, skierowaliśmy się do głównego pomieszczenia, do którego wpadało światło księżyca, stanowiące jedyne oświetlenie. Znowu się rozejrzałam, chcąc zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Lombard był ładnie urządzone. Po prawej stronie znajdował się kominek, nad którym wisiało kilka obrazów. Nie miałam bladego pojęcia, kto jest ich autorem, ale wydawały się cenne. Z kolei na środku pokoju mieścił się ogromny blat z zamykanymi na klucz oszklonymi szafkami, który najprawdopodobniej pełnił funkcję kasy. To właśnie w nim znajdowała się biżuteria, o której wspominał Caleb. Podeszłam bliżej, zdając sobie sprawę, że pierwszy raz widzę coś tak pięknego.

Chłopak, widząc moją minę, uśmiechnął się szeroko. Nie tracąc czasu, zaczął dłubać w zamku. Max w tym czasie odsłonił roletę, zapewne chcąc się upewnić, czy nikt nas nie obserwuje. Nagle się spiął, co wywołało we mnie niepokój.

— Caleb, pośpiesz się — odezwał się szorstko.

Popatrzyłam na niego, a gdy dostrzegłam, że zamek nie drgnął nawet o milimetr, moje serce przyspieszyło.

— Caleb...

— Próbuje, do cholery — warknął, mechanizm jednak nie ustąpił. — Jest jakiś inny...

Przerwał mu odgłos zamykanych drzwi. Louis przeklął i kierowany desperacją podszedł do Caleba, popchnął go, a następnie uderzył pięścią w szkło, które rozbiło się na drobne kawałki. Nawet się nie skrzywił. Wyciągnął tyle biżuterii, ile mógł, i podał ją Calebowi.

Było jednak za późno.

— Spodziewałem się, że to będziecie wy — odezwał się mężczyzna, który wszedł do pomieszczenia.

Postura, spojrzenie oraz ton głosu wskazywały, że nie był do nas przyjaźnie nastawiony. Miał krótkie ciemne włosy i długą brodę. Wzrostem przewyższał nawet Caleba, który jeszcze kilka miesięcy temu się chwalił, że osiągnął sto osiemdziesiąt centymetrów. Jednak nie to przerażało mnie najbardziej, lecz broń, którą trzymał w prawej dłoni.

Automatycznie zrobiłam kilka kroków w tył, pomimo że oddalały mnie one od jedynej drogi ucieczki. Popatrzyłam na chłopaków, którzy wydawali się nieprzejęci całą tą sprawą. Miałam ochotę krzyknąć z bezsilności i karcnąć samą siebie. Od początku bowiem miałam złe przeczucia, lecz i tak uparcie chciałam zaryzykować. Byłam bardziej żałosna, niż można było się spodziewać.

— Nikomu nic się nie stanie, jeśli zostawicie moją własność i obiecacie, że nigdy nie będziecie tu przychodzić — kontynuował mężczyzna, wymierzając w nich broń.

Nawet nie drgnęli.

— Chyba zapomniał pan, że nie mamy nic do stracenia — zakpił Caleb, mocniej ściskając biżuterię. — Nie oddamy jej.

Mężczyzna zaśmiał się gardłowo.

— Każdy ma coś do stracenia — odpowiedział, spoglądając w moją stronę. — Przemów kolegom do rozsądku albo odstrzelę ci łeb.

Strach skutecznie odebrał mi mowę, nie byłam w stanie niczego powiedzieć. Spodziewałam się konsekwencji — od złapania nas, poprzez odbycie kary, aż po wyrzucenie z sierocińca, jednak nie byłam przygotowana na to, że właściciel lombardu będzie nam groził naładowanym pistoletem.

Byłaś naiwna, Noemi. Znowu.

Nagle Max rzucił się na mężczyznę. Wykręcił mu nadgarstek, wytrącając dzięki temu spluwę z jego dłoni. Uderzenie w brzuch na chwilę zamroczyło brodatego wielkoluda.

— Spadamy! — wrzasnął Caleb.

Chłopaki wyminęły mnie, rzucając się do ucieczki. Dopiero po sekundzie zrozumiałam, co się dzieje, i dołączyłam do nich. Słyszając, że mężczyźni udało się wstać, przyspieszyłam. Serce biło mi mocno. Nie byłam pewna, czy to z przerażenia, czy dlatego, iż nigdy tak szybko nie biegałam. Strach jednak przejął nade mną kontrolę. W panice nie byłam

w stanie logicznie myśleć, dlatego biegłam na oślep, ignorując fakt, że przed sobą nie widzę chłopaków. Dopiero po którymś zakręcie zdałam sobie sprawę, że ich zgubiłam. Stałam na środku uliczki, ponieważ ciało odmówiło mi posłuszeństwa. Moje płuca wręcz paliły od wysiłku, błagając o więcej tlenu, nogi drżały ze zmęczenia, a ja miałam wrażenie, że jeszcze chwila i upadnę. Rozejrzałam się w panice i zrozumiałam, że zgubiłam również drogę do sierocińca. Miałam wrażenie, że atak paniki jest coraz bliżej, zwłaszcza gdy z lewej strony wyłonił się właściciel lombardu. Z mojego gardła wydobył się żalostny jęk.

— Chyba koledzy cię wystawili — parsknęłam.

— Nie chcę kłopotów — odpowiedziałam, unosząc dłonie ku górze.
— Przepraszam, ja...

Przerwał mi, strzelając kilka centymetrów od mojej głowy. Podskoczyłam, a w moich oczach pojawiły się łzy. Mężczyzna zaczął do mnie podchodzić, nie spuszczając mnie z celownika. Zrobiłam parę kroków w tył, jednak moje nogi były zbyt zmęczone. Upadłam.

— Może ty ich nie chcesz, ale twoi koledzy tak. — Dotknął lufą mojej skroni. — Może damy im dość jasny przekaz, co dzieje się z ludźmi, którzy kradną moją własność?

Zamrugałam parę razy, chcąc odgonić łzy. Rozpaczliwie rozejrzałam się po zaułku, jednak nie znalazłam niczego, czym mogłabym się obronić. Dłonią dotknęłam chłodnej ziemi i dopiero po chwili w mojej głowie narodził się durny plan. Nie tracąc czasu, złapałam garść piachu i rzuciłam w jego stronę. Sęk w tym, że chybiłam i większość piasku nie trafiła do oczu mężczyzny. Zauważyłam to dopiero wtedy, kiedy zerwałam się do ucieczki, czy raczej starałam się to zrobić, ponieważ właściciel złapał mnie za kostkę, a ja kolejny raz wylądowałam na ziemi.

Strzał.

Wrzasnęłam z przerażenia. Nie poczułam jednak nic, co mogłoby zwiastować, że zostałam postrzelona. Żadnej lepkiej cieczy, żadnego bólu. Uniosłam wzrok na mężczyznę, który stał ze zdeorientowaną miną. Obejrzałam się dokładnie.

— Nie powinieneś tego robić — usłyszałam męski głos.

Właściciel zmarł, jednak mocniej zacisnął dłoń na spluwie. Tym razem wymierzył ją w inną osobę.

— Odzyskasz biżuterię, tylko zostaw dziewczynę.

Zamrugałam parę razy. Ten głos... Wydawał mi się tak samo obcy, jak i znajomy. Przez jego ton na chwilę zapomniałam, w jak beznadziejnej sytuacji się znalazłam. Skupiłam się na jego barwie, jednak za nic w świecie nie potrafiłam skojarzyć go z żadną ze znanych mi twarzy. Zupelna pustka, która irytowała bardziej niż cokolwiek innego.

— Nie chodzi o biżuterię, lecz o to, że powinni dostać nauczkę! — warknął. — To nie pierwszy raz...

— Ale ostatni — przerwał mu.

Usłyszałam szmer, co mogło oznaczać, że mężczyzna zbliżał się w naszą stronę. Powoli, jakby chciał grać na czas. Stał obok mnie i bez słowa podniósł mnie z ziemi. Nadal jednak nie spojrzałam na niego, zbyt mocno przerażona.

— Chłopcze, radzę ci się nie wtrącać — burknął. — Nie wiesz, do czego jestem zdolny.

— I vice versa.

Nie byłam pewna, co właściciel lombardu chce zrobić. Dłoń mu drżała, choć nadal miał ją skierowaną w stronę chłopaka. Jego ciało, pomimo że spięte, wydawało się dawać znać, że jest pewny tego, co zamierza.

W końcu zaśmiał się szyderczo, jakby słowa chłopaka go rozbawiły. Poprawił palec na spuście i popatrzył na mnie.

— Przekonajmy się.

Serce prawie wyskoczyło mi z piersi, a oczy automatycznie się zamknęły, jednak zapanowała jedynie cisza. Otworzyłam oczy i zobaczyłam właściciela lombardu, który leżał na ziemi. Jęknął, chcąc się podnieść, jednak ktoś skutecznie mu to uniemożliwił i kopnięciem odsunął od niego broń.

— Uciekaj.

Pierwszy raz miałam okazję zobaczyć chłopaka, który najprawdopodobniej właśnie uratował mi życie. I nagle, tak po prostu, zapomniałam, w jak beznadziejnej sytuacji się znalazłam. Ciemne bujne włosy, brązowe oczy, pełne usta oraz mocno zarysowane kości policzkowe. Moje serce i oddech przyśpieszyły, jednak tym razem nie ze strachu. Wydawał mi się obcy i zarazem tak bardzo znajomy. Miałam wrażenie, że jestem blisko odkrycia czegoś, co zostało mi zabrane.

— Powiedziałem, uciekaj! — warknął, wybudzając mnie z transu.

Zamrugałam parę razy, ponownie na niego spojrzałam i... zerwałam się do ucieczki.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

NOWY ŚWIAT? MOŻE I NOWY, ALE WCAŁE NIE LEPSZY

Noemi Price może coś o tym powiedzieć. Dziewczyna nie ma rodziny, jest sama i dobrze wie, że wyjście na zewnątrz oznacza śmierć z zimna lub z głodu. Większość jej rówieśników, tak samo zagrożonych, robi wszystko, by przeżyć. Tymczasem Noemi postanawia się poddać. Jednak nie umiera. Niespodziewanie dostaje szansę, za którą inni byliby skłonni oddać duszę diabłu.

Kiedy wkracza do świata, o którym dotąd jedynie słyszała, zdaje sobie sprawę, że musi zapomnieć o wszystkim, co dotychczas przeżyła, a na twarz nałożyć kolejną maskę. Dziewczyna ma nadzieję, że to pozwoli jej przetrwać. Szybko się jednak przekonuje, że życie w Akademii Magii właściwie niczym się nie różni od pobytu w sierocincu. Czy wbrew swojej naturze Noemi podejmie walkę? Czy przezwycięży obezwładniający ją strach? I najważniejsze — czy jej wyjątkowe magiczne umiejętności okażą się błogosławieństwem, czy raczej przekleństwem?

Potęga i władza kuszą, ale grożą utratą kontroli.
A to może się okazać śmiertelnie niebezpieczne...

Dosłownie.

Patroni medialni:



beYA.
beya.pl

ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-283-9733-0



9 788328 397330

ISBN 440971